№ 30.

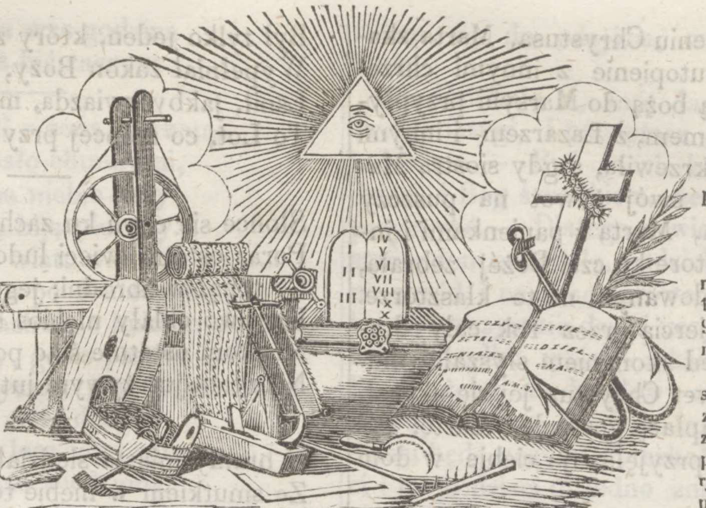
Warszawa

D. 15 (27) Lipca

1856.

Niedziela

11ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

,,Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Otwórz. Panie! uszy miłosierdzia Twego na prośby proszących, a iżby otrzymali, czego żądają; spraw, aby o to błagali, co Ci się podoba. (Modlitwa kościelna na niedzielę 11 po Świątkach).

Żywot św. Marty dziewicy.

Święta Marta urodziła się w Betanii, blizko Jeruzalem. Była starszą siostrą św. Magdaleny i św. Łazarza. Obrała sobie życie niewinności, i przez to Bogu była najmilszą, jak to poświadcza św. Jan Ewangelista, w słowach: ,,Miłował Pan Jezus Martę i siostrę jéj Maryą i Łazarza; tak wielkie w niéj i Boskie cnoty kwitnęły, iż takiéj miłości Pańskiéj z łaski Jego godną się stała." Ew. r. II.

Wiara Marty była gorąca, ożywiona miłością dla Chrystusa i uczniów Jego, którą we wszystkiem życiu swojem, w uczynkach miłosierdzia i jałmużny dla ubogich okazywała.

Gdy brat jéj Łazarz umarł, przyzwany Chrystus, wstąpił w jéj progi, a ona zawołała do niego: *Byś ty był Panie! brat mój nigdyby nie był umarł.* Sama chodząc w czystości, siostrę swą młodszą Magdalenę, póki jeszcze w grzeszném życiu trwała, do pokuty i upamiętania prowadziła, płakała nad nią, i błagała Chrystusa, aby na upadłą nizko swe miłościwe oko obrócił, a odczartów, t. j. owych 7 śmiertelnych grzechów, odwiódł. I wysłuchał Bóg jéj prośby, i powrócił na drogę poprawy, nieszczęsną Magdalenę.

Miłosierdzie téj dziewicy do tego doszło, iż nietylko wypełniała je nad ubogimi, i żebrakami, ale zjednało jéj to szczęście, iż Bogu samemu i aniołom Jego jałmużnę z ręki swéj dawała, im usługiwała, jeść własną dłonią podawała, do stołu służyła, i potrzeby ich opatrywała.

Szczęśliwsza od Lota, który anioły częstował, więcéj błogosławiona od Abrahama, który tylko pod zasłoną Boga widział, bo ona samego Chrystusa w dom swój przyjęła, i w człowieczeństwie z bóstwem połączonem Go oglądała.

Dlatego też Ewangelista Łukasz św. mówi: ,,Niewiasta na imie Marta, przyjęła Go w dom swój, i z pracą a bieganiem Jemu służyła." (Ewan. r. 10).

Dozwolił jéj Bóg za to widzieć nietylko swą śmierć, ale i zmartwychwstanie, bo jak Łukasz św. poświadcza, Jezus po zmartwychwstaniu z apostołami swymi, ukazując się w Jeruzalem, wyszedł z Betanii, *aby nawiedzić oną gospodę swoję, i jałmużnicę swoję Martę.*

Po wniebowstąpieniu Chrystusa, Marta skazana na stracenie i utopienie z innymi chrześcianami, za sprawą bożą do Marsylii przypłynęła, gdzie z Maxymem, z Łazarzem i innymi wiarę Jezusową rozkrzewiła, a gdy siostra Magdalena bogobojny swój żywot na puszczy spędzić postanowiła, Marta z panienkami i innemi niewiastami, ktore ku czci Bożéj zebrała, zamknęła się w zbudowanym na to klasztorze. Marta przed śmiercią przez rok cały dręczona niemocą, przed skonaniem słyszała muzykę anielską, a nawet Chrystus jéj się ukazał, mówiąc: „Już ci zapłacę gospodę, Marto! tyś mię w dom ziemski przyjęła, ja ciebie w dom niebieski wezmę.“

Poczem Marta kazała się wynieść pod otwarte niebo, aby na nie swobodnie patrzeć mogła, i na ziemi popiołem posypanej, oddała ducha Bogu, słuchając czytania owych słów Ewangelii św. Łukasza: „*Ojcze! w ręce twoje polecam Ducha mego.*

Bogobojny ten żywot św. Marty, stał się zachętą do wielu dobrych uczynków. I u nas w Warszawie pod wezwaniem téj świętej dziewicy powstał od lat kilku *Zakład*, w którym, wiele panien znajduje pracę, i uczciwie na kawałek chleba zarabiać może.

Zniszczenie Sodomy i Gomory.

Onego czasu, w cudnéj krainie,
Gdzie rzeka Jordan szeroko płynie,
Gdzie dziś są *martwe* wody jeziora,
Stały dwa miasta: Sodom, Gomora.
Kraina piękna jak ogród Pana,
W najdroższe dary ziemi przybrana,
W najmilsze drzewa kraj ustrojony,
Na Palestynie najlepsze plony;
A tylko pychą nadęci ludzie
Żyli tam w trądzie, grzechu i brudzie.
„Co nam Bóg znaczy, Bóg Abrahama!
„Alboż nam ziemia nie rodzi sama?
„Alboż On nasze zbudował miasta,
„Czyż nam bez Niego plon nie wyrasta?
„Drugi już potop nie spadnie z nieba;
„Héj! żyć, używać, póki czas, trzeba!“
Bluźni rozbestwion lud śród bezprawia,
I cielcom złotym ołtarze stawia.

Był tylko jeden, który z ochotą
Wypełniał zakon Boży, a cnotą
Lśnił, jakby gwiazda, między grzesznemi:
To Lot, co z obcéj przybył tam ziemi.

Słońce się chyli ku zachodowi,
Poraz ostatni świeci ludowi,
Co tonął w zbrodni; jego promienie
Krwawo oblały niebios sklepienie,
Miastom ostatnie śląc pożegnanie:
Nikt tam już żywym jutro nie wstanie!

U bramy miasta siedział Lot siwy,
Ze smutkiem w niebie topi wzrok tkliwy;
Poważna broda na pierś mu spływa,
A twarz się łzami rosi sędziwa;
Dręczony bliźnich swoich grzechami,
„Panie! zmiłuj się, woła, nad nami!“
Kogóż to zoczył starzec zdaleka?...
To dwaj podróżni. Pewnie ich spieka
Dnia gorącego do chłodu pędzi.
Lot wstał, dał pokłon i prośb nie szczędzi:
„Bóg Abrahama z wami, pielgrzymi!
„Gośćmi jesteście pożądanymi;
„Wstąpcie do domu sługi waszego,
„Spożyjcie ciasta niekwaszonego,
„Winem, owocem, pokrzepcie siły;
„A gdy was u mnie wzmocni sen miły;
„Gdy wam zdrożone obmyję nogi,
„Nic was nie wstrzyma od dalszéj drogi.“
Pielgrzymi chętnie skłaniają ucha,
Lot ich ugaszcza; w pokorze ducha
Nogi im myje, ucztę zastawia,
A Bóg do Lota przez nich przemawia:
„Myśmy Anieli z Nieba zesłani,
„Na chwilę w postać ludzką przybrani;
„Niesiemy wyrok Wszechmocy Boga:
„Miast grzesznych kara nie ujdzie sroga.
„Długo Pan Panów poprawy czekał,
„Długo łaskawie gniew swój odwlekał;
„Ale się stało. Ty tylko, Locie,
„Wierny z rodziną Bogu i cnocie,
„Opuścisz jutro Sodomę z rana;
„Lecz słuchaj, jaka wola jest Pana:
„Niech nikt z was za się nie spojrzy w drodze,
„Bo Bóg ciekawość ukarze srodze.“

Jutrzenka smutne rzuca promienie;
Łzą się zamgliło niebios sklepienie;

Miasta! ostatnia dla was godzina
Z wyroku Boga już bić zaczyna.

Ledwo Lot wyszedł z żoną, córkami,
Niebo czarnemi zaszło chmurami,
A wśród ognistéj na niebie łuny
W Sodom, Gomorę biją pioruny...
Ziemia się trzęsie... wiatr wściekle wyje...
A lud się z krzykiem po domach kryje;
Lecz gmach za gmachem z hukiem się wali,
A deszcz siarczysty, gdzie padnie, pali.—
Lot wszystko słyszał; pomny przestrogi,
Idąc do Zoar, celu swéj drogi,
Nie spojrzał za się; lecz jego żona,
Żądzą ciekawą będąc wiedziona,
Odwraca głowę wbrew Pana woli...
I wraz się zmienia na bałwan soli.

Gdzie stały miasta Sodom, Gomora,
Już śladu nie ma; tylko jeziora,
Woniejąc siarką, czernią głębiny.
Niema u brzegów żadnéj rośliny,
Ni ryby w wodzie, ptak tam nie śpiewa;
Ztąd się jezioro *Martwem* nazywa;
A okolica, ów ogród Pana,
Piaskiem palącym wkoło zasiana.

Pogadanki starego rolnika.

III.

Kiedy znów jednéj niedzieli poschodzili się gospodarze do Janka Goździaka, a za każdą razą to ich się coraz więcéj schodziło, Janek uczęstowawszy wszystkich tabaką, rzekł:

—„Moi ludzie! któregoś ta dnia, zaszedłem do dworu, i jakto w gadce to o tém, to o owem, przyszło do tego, że się, w niedzielę schodzicie do mnie, i że rozmawiawa z sobą o gospodarstwie.— Poczciwy pan ucieszył się z tego okrutnie, bo wedle swego zwyczaju, chodził drobno po pokoju, i het gadał—„a to dobrze— a to chwała Bogu!“— Jak ja wszystko przełożyłem, tak z wielkiéj radości uściskał mnie, ucałował nikiéjby równego, potem zawołał pani, panicza, panienek, i im na nowo wszystko musiałem opowiedzieć.— Oj! radowania z tego było, radowania,— uczęstowano mnie uczciwie, pan sam do mnie przepił, ja znowu do pani, a kiedy zabierałem się do odejścia, wtedy pan rzekł do mnie:

—„Dziękuję ci, mój Janie! że nie żałujesz swojéj fatygi, i pamiętasz o poczciwym moim ludowinie.— Boć ja ich kocham, jak własne dzieci, i Bóg świadkiem, że radbym im nieba przychylić.— Dlatego powiedz im, że zaraz postawię dom na szkołę, oddzielę do niego z morgę na ogród, i na zimę sprowadzę nauczyciela, żeby się wszystkie dzieci uczyły czytać i pisać, i żeby nietylko umiały z książki Boga pochwalić, ale żeby im do głowy coraz więcéj rozumu przybywało.— Powiédz im, że własne swoje dzieci będę posyłał do szkoły, bo mnie ich dzieci i moje dzieci to jedno znaczą, i że postaram się......“

Przy tych słowach Piotr Lawenda, chłop tęgi i barczysty splunął głośno, i powstając z ławy, rzekł z prędkością, jakby z gniewaniem.

—„Ej! mój Janie, bajecie ta! bajecie nikiéj maluśkie dziecko, tak wywodzicie gadkę, jakbyście nie wiedzieli, że chłop u pana to tyla znaczy, co nie przymierzając, szkapsko u gospodarza.— Dba o niego, jeść mu daje, bo mu idzie o robotę; a żeby nie to, toby go nie miał i w pomyśleniu.— Dlatego wybaczcie mój Janie! że się wam sprzeciwiam, ale wy gadajcie sobie, co chcecie, a ja zawdy swoje powiem, że w panach dla nas niema żadnéj przyjaźni, i jużcić.“

Jak Piotr skończył, tak między chłopinami powstał gwar, że trudno było zmiarkować, co który mówi.— Jedni mówili tak, drudzy owak, ale zawdy więcéj gadki było za Piotrem, jak przeciw niemu.— Jeden tylko Janek i dwóch starszych gospodarzy, co ino słuchali a nic nie mówili, a kiedy się ludowina wygadał, co ino mógł, wtedy Janek odezwał się smutno, po wszystkich poglądając:

—„Moi sąsiedzi! jać to przecie taki chłop jak wy od ojca i dziada, a powiem wam po sprawiedliwości, że se źle poczynacie, wywodząc taką gadkę, a jeszcze gorzéj, że naprzeciw panom macie taki układ w głowie.—Bo, żeby na ten przykład, który z was moi sąsiedzi, dowiedział się, że jego służący, parobek, albo dziewka rozgadują się o nim między ludźmi z nieprzychylnością, i nigdy nie rzekną poczciwego słowa, tylko zawdy naprzeciw niemu, to jużcić rzeklibyście, że to bajbuga, że walczy na was, że was radby zedrzeć ze skóry, strzeglibyście się przed nim, jak przed jakim nieprzyjacielem, i zawdy

bylibyście z nim w rozdwojeniu, nikiéj nie przymierzając, pies z kotem, co jak jeden pokaże zęby, to drugi jedzie do pyska z pazurami; jak ten warknie, to ten plunie, i hala! po sobie.— Równie jednak panowie, moi sąsiedzi! w tem wydarzeniu lepsi są od was, bo kiedy my od takich bajbugów odsuwamy się nikiéj od ognia, to panowie, choć wiedzą, że między chłopami więcéj o nich złego słowa jak dobrego, nie zabaczają o nas, i w każdym ucisku ratują czem mogą.— Zaboleje który, juźcić zaraz do dworu po radę i lekarstwo.— Pan, i pani i panienki zachodzą do chałupy, wywiadują się, dają różne leki, i po doktora nieraz poślą, przysyłają dojadek, jak który przychodzi do zdrowia, a jeśli go Pan Bóg zabierze, to często gęsto i trumnę każą zrobić, i pogrzeb sprawią.— Braknie któremu pieniędzy w jakim ta wypadku, jaki taki się wymówi, dwór jednak, aby miał, i aby rozważył, że pożyczony grosz wyjdzie na dobre a nie na hultajstwo, nie odrzeknie—„nie dam“— ino—„naści Wojtku! albo Józefie! a z nowego oddasz mi.“ Z nowego znowu nie naprzykrza się duchem o oddanie, i żeby ino zmiarkował, że ciężko na człeka, poczeka, nieraz drugie tyle doda, a choć nie od jednego odbierze, to znajdzie się często gęsto i taki, co zmarnuje wszystko, albo umrze i przepadnie. Przyjdzie ta jaki nakaz od rządu, albo palet, albo co takiego, to juźcić cała gromada daléj do pana, i pan jedzie, nie żałuje i fatygi i straty i zmartwienia, wytłumaczy, przełoży, aby ino gromadę osłonić.

—Zostaną jakie małe sieroty, coby bez opieki ludzkiéj wyszły na marność, juźcić któż ich przytuli do siebie? Chłop, ino z wielkiego jakiego trafunku, a dwór zawdy.— Gospodarz jaki chce córkę wydać albo syna ożenić, albo w jakim innym wypadku, co nie dufa swemu rozumowi, juźcić daléj do dworu po radę, bo powiada—„że w turbacyi, to kajże się udam, jak naprzód nie do Boga, a potem nie do pana?.“ —Przyjdzie przednówek, to każdy co nie ma czem wyżywić się, ogląda się ino na spichlerz dworski; i dwór, aby ino miał, to daje, wspiera, i choć jedno potrąci se w robociznie, to wiela, wiela mu przepadnie, bo mało trafi się, żeby który z was w długu we dworze nie siedział.— Więc widzicie moi sąsiedzi! że w każdym ucisku na dwór się oglądawa, i dwór choć wie, że nie ma w nas żadnéj dla siebie przyjaźni, równie nie zważa na to, i z jednaką zawdy dla nas jest przychylnością.— Oj! żeby z was tak którego postawić na miejsce pana, toby nie miał takiego pomiarkowania, i na chłopa toby zawdy miał sól w oczach.“

—„Juźcić mój Janie“— odezwał się na to Piotr Lawenda, co najpierwszy wywiódł gadkę naprzeciwko panom—„juźcić po części macie racyją, ale choć panowie i lekarstwa, i pieniędzy i zboża, i porady nie żałują, to wszystko ino dlatego, żeby mieć z ludzi robotę, a nie z żadnéj przyjaźni.“

—„Źle mówicie, mój Piotrze! bo choćby pan żył zupełnie w osobności, nic se głowy nie zaprzątał chłopami, i nie dał nikomu ani rady, ani wsparcia, to i tak o robociznęby się nie prosił. Bo jeżeli szukawa zarobku we dworze, to nie dlatego, że panu potrzeba robocizny, ino dlatego, że każdy z nas potrzebuje zarobku.— Bo jakby nie miał czem zapłacić, to czyby poszedł kto do niego na zarobek, na ten przykład, z kosą, albo z sierpem, choćby siano na łąkach niszczało, a zboże na polu wysypywało się?— Juźcić nie poszedłby, bo każdyby powiedział— „ale, pójdę ci ta darmo, nie głupim.“

—Wreszcie moi ludzie! nie miałby was pan do roboty, to miałby innych, bo wiecie, że jak pieniądz jest w kieszeni, to jest wszystko, więc jeżeli panowie opiekują się swymi ludźmi, to robią to z poczciwości, jak ojcowie dla swoich dzieci, chociaż wiedzą, że ta nie warci są ich kochania.

—„No juźcić, mój Janie“— odezwał się Bąbała, co to tak bez miłosierdzia klapał się po łysinie— „choć różni są ludzie na świecie, aleć przecie my znowu nie ostatni, i na nas się dwór nie powinien skarzyć.“

—„Oj! święte wasze słowa, mój sąsiedzie“— odrzekł Janek wzdychając—„że są gorsi od was, a nawet tacy, co aż żal serce ściska, że ich święta ziemia nosi po sobie.— Ale takich to już trzeba zostawić miłosierdzu Bożemu, was zaś moi ludzie! to wiecie, dlaczego dwór zawdy przytula do siebie, i zawdy jest z przychylnością?— Oto dlatego, że wie, iż każde, jakie ma od was zmartwienie, to wychodzi nie ze złości, ino z głupiego waszego rozumu:— więc dlatego tak się pan ucieszył, jak mu opowiedziałem, na co my się tu z sobą schodziwa, i przyrzekł przyjąć do nauki nauczyciela, że bez to, jak z rozumem naszym będzie coraz lepiéj, to będziemy coraz lepsi dla niego, i codzień prawie

serca nasze będą się nawracać ku niemu. Ot tak zupełnie, jak nieprzymierzając, ojcowie, co mają małe dzieci, to w maleńkości nie ma prawie godziny, żeby nie było o nie turbacyi, i dopiero jak dorosną, czyli jak zmądrzeją, przychodzi do nich upamiętanie.— Tak samo ma się z nami, bo czem dla dziecka chałupa i różne w niéj graty, tem dla nas świat i ludzie, i zachowanie się nasze między nimi.— Więc choć źle co zrobimy, albo co niemądrego z gęby wypuścimy, to panowie ino se pomyślą—„biedny ludowina, nie ma nijakiéj nauki, ani edukacyi, zrobił to, albo owo, albo powiedział coś przeciwnego, bo jeszcze nie wie, co złe, a co dobre.“—I choć skrzyczą, wyłają i wydonderują, równie zawziętości nie nabierają, ino se rzekną: „niech ino zmądrzeją, to zaraz będą lepsi.“

—„Dobrze to wszystko, mój Janie“ – odezwał się Lawenda,— „pięknie mówicie, nikiej ksiądz na ambonie, ale wam powiem, że rozdwojenie takie między chłopami a panami, jak nie za was powstało, tak się nie za was skończy, i pono tak na zawdy zostanie, jak jest.“

—„A niechże Bóg broni“— wielkim głosem odezwał się Janek—„a niechże cudowna Matka Boska Częstochowska i wszyscy Święci bronią nas od takiego nieszczęścia.“

—„A i cóż to za nieszczęście?“—zapytał jeden ze słuchających gospodarzy—„a i cóż ta nam by z tego przybyło, choćby takie rozdwojenie zginęło?

—„Oj! wiela i bardzo wiela! mój Franciszku, a że tego nie możecie sami pomiarkować, to najlepiéj widzicie, jak rozum wasz strasznie kuso po świecie pogląda.— Otóż ja wam to przełożę, i nie wagujcie się wysłuchać starego, bo pamiętajcie, że póty nie będzie dobrze na świecie, dopóki ludzie wszyscy nie będą się kochać i miłować, jak Bóg kazał w swoich przykazaniach.“

Po tych słowach Janek umilkł, przymknął oczy, złożył ręce na piersi, i jakby się modlił, bo cosić ruszał ustami, po chwili tak daléj gadkę swoję prowadził.

—„Moi ludzie! świat cały z ludźmi, to tak jest, jak nie przymierzając, nasza wieś Marusice, co mamy pana, rządcę, różnych oficyalistów, różnych majstrów, księdza proboszcza, wikarego, organistę, dziadów, karczmarzy, szynkarzy, i ta innych różnego stanu.— Gdyby między tymi ludźmi było rozdwojenie, gdyby każdy ciągnął wodę ino na swoje koło, a każdego innego człeka dla swego zysku, radby zatracić, i dla nikogo nie miał żadnéj przychylności, ino dla siebie, to coby się wtedy w naszych Marusicach działo?—Juźcić niech Bóg broni, człek w żadnym ucisku czy potrzebie nie miałby z nijakiéj strony poratunku, i niejedenby może zdechł pod płotem jak pies, bo ktoby się o niego zaturbował? — Zepsułby się wóz, pług lub radło, niktby ci nie dał, bo z każdym jesteś w rozdwojeniu. Zaniemogłeś, zadłużyłeś się, nie masz co jeść, idziesz do tego, do owego, każdy kuli ramion, i odsyła cię do drugiego, bo z tobą jest w rozdwojeniu, i poratować cię nie chce.— Panby myślał, jakby przyciskać chłopów, oficyalistowie, jak krzywdzić pana — majstrowie, jak oszukiwać ludzi, chłopi zaś, jak skubać dwór, oficjalistów, jak okpić i otumanić majstrów; dosyć, że nikt o niczemby nie myślał, ino o oszukaniu jeden drugiego. Poprawdzie powiedziawszy, tak się u nas dzieje w Marusicach, ino z tą odmianą, że kiedy my wszyscy i słowo poczciwe, i uczynność mamy ino każdy dla siebie, to ksiądz Proboszcz uczy nas co niedziela, że Bóg przykazał kochać każdego człowieka, jakby siebie samego, tak mu życzyć dobrze i tak dopomagać, jakby sobie, a dwór zawdy nas spotyka z poczciwem słowem, z dobrem poradzeniem, z ratunkiem w każdym wypadku i nie ze skąpą ręką.— Ale widzicie, dwór jest ino jeden, księży dwóch, na całą naszą wieś, co pracują, i starają się, żeby takiego rozdzielenia nie było między nami, i żebyśmy się przecie zeszli kiedy z sobą; a nas chmara nieladajaka, co zawdy od wszystkich i między sobą boczkujem, to i cóż oni poradzą?— Dlatego też choć pan powie co mądrze, albo poradzi, to my mało na to zważawa— bo będąc z panem w rozdwojeniu, i miarkując po sobie, żebyśmy dla pana mało co kiedy zrobili dobrego, tak się nam widzi, że i pan taki, i jednem uchem słuchamy, co mówi, a drugiem wypuszczamy.

Oj! źle moi sąsiedzi! i dlatego też między ludźmi tyle biedy jest i narzekania na ciężkie czasy, bo więcéj jest takich, co chodzą samopas, wszystko garnąc ino do siebie, jak takich, co przecie myślą, jak ta komu zrobić co dobrego. Co znaczy dobra przyjaźń między ludźmi, to se najlepiéj zmiarkujecie z Wojtka i ze mnie. — Pamiętacie, żeśwa wedle siebie mieli chałupy, i obory ze stodołami; jak Bóg zesłał ogień, zosta-

liśmy w jednych koszulach, bo wszystko poszło z dymem.—Dziś jednak moi ludzie! choć nie ma u mnie wielkiego dostatku, ale i biedy nie ma, a Wojtek jak zbiedniał z ognia, tak chociaż jednaką ze mną dostał zapomogę, tak biedny i jużcić, że na biedzie u niego toby prawie siekierę zawiesił.—A wiecie dlaczego tak się z nami dzieje?— Oto widzicie dlatego, że ja zawsze starałem się być z przyjaźnią dla każdego, więc z każdym miałem dobre zachowanie, zacząwszy od samego pana, aż do żebraczego dziada,— Wojtek zaś nic nie dbał o przyjaźń ludzką, i żył ze wszystkiemi w rozdwojeniu,— bo u niego każdy był zły, ino on najlepszy.— Po ogniu też ludzie nie odwrócili się odemnie, każdy pożałował, i czem mógł, tem dopomagał.— Pan dał zboża,—pani mąki, kaszy, słoniny, panienki płótna i różnych szmat, od innych panów przyszła przez naszego Proboszcza nie jedna złotówka, z was znowu każdy dał mi to snopek słomy, to wiązkę siana, to kapkę mleka dla dzieciaków; to pomógł w oraniu, w radleniu, albo w innéj robocie; stolarz porobił różne graty, i ino kazał se zapłacić za materyał, to samo szewc, a żyd Jankiel dał kożuch na poczekanie, czasem przyniósł kawałek mięsa; albo ser w podarunku.— A jakeście kopnęli się do lasu, ten z furą, ten z siekierą, tak wnet nanowo się pobudowałem, że we trzy lata potem już lepiéj było wedle mnie, jak przed ogniem.— Więc wszystko to z czegoż przyszło do mnie?— Jużcić z woli Boskiej, i z przyjaźni ludzkiéj, bo Wojtkowi tak się nie poszykowało.— Dwór choć zapomógł, ale zapomoga ta nie wychodziła z przyjaźni, ino z miłosierdzia chrześcjańskiego, to jużcić ja we wszystkiem byłem lepszy od Wojtka, i choć jednako dwór nas zapomógł, ale mnie wszystko lepsze się dostało, więc bez to na to wychodziło, jakbym wszystkiego w dubelt tyle dostał co Wojtek.—Bo jużcić, moi ludzie! choć matka radaby wszystkie swe dzieci jednako obdzielić, to równie jak kraje chleb, zawdy przy kawałku dla najukochańszego dziecka, nóż pójdzie pośluzem i kromka dla niego wypadnie najszersza.— Tak samo też i w świecie między ludźmi, dla wszystkich mamy oczy, ale jakoś swój choć i w gromadzie ludzi najpierw do nich wchodzi.— Dla Wojtka też każda ręka była skąpą, i gdy dla mnie ledwo że ptasiego mleka nie przyniesiono, on biedak sam się musiał ratować, grzebać, ot i do dziś dnia, choć to lat z piętnaście, a jeszcze wygrzebać się nie może, i już pono nie wygrzebie, bo coraz wedle niego gorzéj.

Jak się też ma z Wojtkiem i ze mną w Marusicach, tak samo z ludźmi po świecie, i gdzie tylko między panem i chłopami jest rozdwojenie, gdzie ludowina wre na pana, tam wszędy źle się dzieje.— U nas ta Bogu dzięki chłopi mają jeszcze dobry swój rozum, i choć mrukną na panów i to i owo, zawdy jednak garną się do nich, i dlatego u nas jeszcze się ta dzieje jako tako— ale moi ludzie! gdzie się chłopi od swoich panów odłączyli i już zupełnie idą swoją drogą, to niech ręka Boska broni, co się tam dzieje, to aż włosy na głowie powstają słuchać o tem ludzkiéj gadki.

Bo widzicie, moi sąsiedzi! Bóg jakby na upamiętanie i nawrócenie ludzi do dobrego, bo się teraz bardzo popsuli, zesłał różne plagi na ziemię.— Dał naprzód cholerę, potem febry, więc u nas każdy szedł do dworu o poratunek i dwór do ostatniego każdego ratował, i choć wiela ludzi wymarło, ale wiela wyzdrowiało.— Tam zaś chłopi nie mieli śmiałości pójść do dworu, więc i starunku nie mieli takiego, jak u nas, i tak padali, jak muchy, że w niektórych wsiach to ledwo po dwoje albo troje ludzi zostało.— Z tego poszedł głód, to u nas znowu każdy się garnął do dwora, bo zawdy mało wiela w każdym dworze znalazło się ziarna; tam znowu równa bieda padła tak na panów, jak na chłopów, więc zapomogi z nikąd, i ludzie, moi kochani, aż puchli i marli z głodu.— A wszystko to z czegóż wyszło?— jużcić z rozdzielenia się chłopów od panów, bo żeby chłopi byli z przychylnością dla panów, toby mieli śmiałość pójść po różne leki, i nie umieraliby tak jeden za drugim. Gdyby dwór miał zboże, toby także zapomógł był chłopisków, i nie byłoby takiego nieszczęścia między nimi.— Więc widzicie, jak to powinniśmy być z przyjaźnią dla panów, bo jak my panów będziemy uważali, nikiéj naszych ojców, i będziemy dla nich z życzliwością, to i panowie będą nas mieć za swoje dzieci, i ratować nikiéj dzieci w każdym wypadku i ucisku.— A jak będziemy dla nich złymi pasierbami, to i oni będą ojczymami, a nie ojcami, bo jaką kto miarką mierzy, taką mu odmierzają.

—„Dobrze to wszystko, mój Janie“— odezwał się Bąbała—„ale równie panowie nie zawdy z nami tak robią, jak wypada— czasem bez niewinność, i nakrzyczą i ukarzą, i często

dla pochlebcy, dla hultaja, lepsi są jak dla poczciwego człowieka, co prawdą żyje na świecie.“

—„Prawda, mój sąsiedzie“— odrzekł na to Janek —„że bywa tak czasem, jak mówicie, ale widzicie i panowie takimi są ludźmi, jak drudzy, więc jak ludzie mogą pobłądzić.— A kiedy panowie mają nieraz dla nas wyrozumiałość, to i my dla panów powinniśmy być takimi.— Z resztą, moi sąsiedzi! z taką chmarą ludzi, jak jest w każdéj wsi, a każdy radby rządzić się swoim rozumem, i wszystko garnąć do siebie, nie od siebie, to nieraz panom braknie i cierpliwości. Niejeden z was, moi ludzie! po próżnicy nadokucza się kobiecie, wybije czasem dzieci, nazemstuje parobka swego, albo dziewkę, albo i sąsiada, a równie nikt z takich ino wypadków, jeżeli nie ma co gorszego, nie powie, że to zły człowiek; ino że zmarkociło mu się, brakło cierpliwości, i bez prędkość zrobił, albo powiedział to, czegoby w powolności nie był zrobił. — A jeżeli trudno gospodarzowi ustrzedz się takich rzeczy we własnéj chałupie, to trudniéj panu w całéj wsi z tyloma różnymi ludźmi.

Ale słonko już niedługo zajdzie, każdy więc z nas musi pójść do swego domowego obrządku.— Wybaczcie więc, moi ludzie, że wam tu tyla rzeczy nagadałem, ale Bóg świadkiem, że to wszystko dla waszego ino dobra, bo wiem, że im będzie więcéj kochania między ludźmi, i żadnego między niemi rozdzielania, tém będzie lepiéj na świecie.— A że nic nie staje się bez pomocy Boskiéj, więc wszyscy, jak jesteśmy, poprośmy Boga Wszechmogącego, aby nam nie odmówił swojéj świętéj opieki.“

I to rzekłszy Janek, ukląkł, zdjął czapkę, za nim poszła cała gromada, i w głos zaczął mówić.

—„Panie Boże Wszechmogący! który w swoich świętych przykazaniach nakazałeś, żeby wszyscy ludzie kochali się z sobą jak bracia, i zawdy mieli dla siebie przychylność w swoich sercach, ześlij w świętem miłosierdziu choć jeden promień swojéj miłości na nas prostą ludowinę i naucz nas, jak mamy kochać i siebie samych i naszych panów, a to dla naszego szczęścia i zbawienia duszy, i dla chwały Twojéj, Ojcze nasz niebieski! Panie Boże, Jezu Chryste! zmiłuj się nad nami, za wstawieniem się Twojem Najświętsza Maryo Panno, którą pozdrówmy słowami Anioła Pańskiego. — *Zdrowaś Maryo*.... i. t. d. I podczas modlenia cichutko było, jak w kościele, ino było słychać szeptanie nikiéj woda, kiedy mruczy między wikliną.— A chociaż miło było spojrzeć, jak modlący się ludowina, pokornie z odkrytą głową, powtarzał modlitwę za Jankiem, jak jednak człek rozważył sobie, że to całe modlenie się jest o to, żeby się ludzie między sobą nawidzili, to tak cosić zakręciło w sercu, że człek z płaczem zawołał: O! Boże! daj ino ludziom kochanie, a znowu raj wróci na ziemię.

Sługa jakich mało.

Służba i ścisłe wypełnienie powierzonych obowiązków zjednywa wielkie zasługi przed Bogiem. Kto chętnie odda się uczciwéj pracy, ten zyskuje miłość u Boga i ludzi, a ciche cnoty nie zostaną bez nagrody. I właśnie żyjąca do dziś dnia Zofia Masłowska, służąc lat 40 w jednym domu, może być wzorem dla innych.

Niech więc kilka przykładów z jej życia, na pamiątkę cnót i poświęcenia się, zapełnią kartkę w tem piśmie.

Zofia Masłowska urodziła się we wsi Złotowie w Prusach; wcześnie straciła rodziców, i weszła do obowiązku za młodszą do państwa B.... w Radziejowie. Niedługo pełniła obowiązki młodszej; gdy dała dowody uczciwości, rzetelności i akuratnego wypełniania obowiązków, została szafarką i pomocnicą swéj pani w zarządzie domowym.

Rok za rokiem upływał, przywiązywali się państwo do sługi, a sługa do państwa; pilna w swoich obowiązkach, przysparzała byt państwu i sobie, bo biorąc płacę odpowiednią, a w wydatkach zachowując oszczędność, składała sumkę na starość; lecz i w tym razie poczciwa Masłowska, przez prawdziwe przywiązanie do domu, uważała grosz zapracowany, jako dar państwa, w razie potrzeby do nich należący. I tak czas przechodził; państwo się starzeli, dzieci wzrastały, a Zofia pochylając się także ku starości, cieszyła się razem ich pomyślnością i wspólnie cierpiała nad wypadkami smutnemi które w życiu naszem spotykają nas tak często. Podzieliła Masłowska swe serce pomiędzy rodzinę państwa, i jak druga matka, gotową była na wszelkie poświęcenia. Obchodziła ją żywo każda zmiana w domu, i gdy nadeszły wakacye

a dom rozweselił się zgromadzonemi dziećmi ze szkół, to i dla niéj te dnie były uroczyste.

Wyjazd znowu zasmucał ją mocno i nieraz płacząc przy pożegnaniu, wsuwała ukradkiem w ręce paniczów podarunki, kupione za własne pieniądze aby ich ucieszyć, i swemu sercu zadosyć uczynić.

W lat kilkanaście jéj służby, cios straszny dotknął rodzinę pana B... ten bowiem po kilku tygodniach słabości umarł. Masłowska nieodstępna w chorobie tyle dała dowodów poświęcenia się, że jéj pan B... zapisał kilka tysięcy. Ale kiedy otworzono testament, i ona o tem dowiedziała się, ze łzami w oczach udała się do rejenta, aby ten zapis przelać na paniczów.

Cnoty i poświęcenie się Zofii Masłowskiéj niechaj służą za wzór naśladowania innym. Dziś służąc u dzieci tych państwa, piastuje ich wnuki, i z modlitwą na ustach oczekuje chwili, w któréj ją Bóg powoła do lepszego życia w wieczności, na które zasłużyła swojem dobrem i cnotliwem życiem.

Miło być dobroczynnym.

Bardzo daleko od Warszawy mieszkał niezbyt zamożny wieśniak, który uważał sobie za powinność pomagać bliźnim w niedostatku. Znały go dobrze przyległe okolice, i każdy, który potrzebował wsparcia lub rady przyjacielskiéj, biegł do niego na pewno, przedstawiał swoję potrzebę, i nigdy nie wyszedł próżno. Pewnego razu przechodząc ścieżką około wielkiego stawu, zobaczył tonące dziecię, a wzruszony gorącą chęcią wyratowania go, z narażeniem własnego życia skoczył do wody, i przy pomocy Bożéj wydobył dziecię. Ogłosiwszy w całéj okolicy to zdarzenie, kiedy się nikt do dziecięcia nie przyznawał, przyjął je za własne, i zajmował się jego wychowaniem. Chłopczyk dorosłszy do lat 8, pokazywał wielką chęć do nauki, a oddany przez swego dobroczyńcę do szkółki rządowéj, będącéj w przyległem miasteczku, postępował w naukach, co sprawiało niezmierną pociechę wieśniakowi. Ile razy zobaczył nauczyciela, który kształcił małego Radosława, zawsze usłyszał słowa pocieszające, że starania i koszta, jakie łoży na to dziecię, nie zmarnieją, ale owszem pożądany owoc przyniosą.

Radosław w 11tu latach już posiadał gruntownie nauki, wykładane w téj szkółce. Poczciwy wieśniak nie przestał na tem, ale dołożył wszelkich starań, i oddał chłopczyka do szkoły Powiatowéj w Siedlcach. Radosław umiał też cenić przysługi i zabiegi kmiotka, bo dostawszy się do klassy czwartéj, sam się utrzymywał, i jeszcze niekiedy posyłał swemu dobroczyńcy po kilka rubli, które zarabiał za lekcye, dawane uczniom mniéj od siebie usposobionym. Ukończywszy szkoły z nagrodami, powrócił szczęśliwy do domu wieśniaka. Przebywszy tam czas niejaki, pospieszył do Warszawy, i wstąpił do stanu duchownego. Następnie zostawszy księdzem, nie zapominał o swoim dobroczyńcy, i niósł zawsze pomoc staremu już wieśniakowi.

Jakże miło było kmiotkowi patrzeć na dojrzały owoc swych starań, zabiegów i trudów; ile razy przechodził koło stawu, przypominał sobie swój wypadek, i płakał z radości, że mu Bóg dozwolił wychować dziecię, które jest jego jedyną pociechą.

Zdania.

1. Nie jestto litość, którą, gdy los brata nęka,
Łzy w oczach okazują, a nie stwierdza ręka.

2. Nie jeden w swéj starości obumiera z głodu,
Że się nie chciał ni uczyć, ni pracować z młodu.

3. Serce w czyste uczucia, w rozum bogać głowę,
Z nich to najtrwalszą szczęścia będziesz miał budowę.

4. Dla tego żyją drudzy, kto dla drugich żyje,
Bo jak mówi przysłowie: ręka rękę myje.

W drukarni J. Unger.— Wolno drukować. Warszawa d. 11 (23) Lipca 1856 r.— Starszy cenzor. *F. Sobieszczański.*